

„Dobrze widzi się tylko wtedy, gdy się patrzy sercem. Najważniejsze jest dla oczu niewidoczne”

Antoine de Saint-Exupery „Mały Książę”.

1.

Mówią, że dawno już umarł... Mówią, że ukąszony przez żmiję powrócił na swą asteroidę B612. I że zabrał ze sobą pudełko z owieczką, którą mu narysowano.

A przecież kiedy tego ranka podszedłem do szpitalnego łóżeczka i na tle śnieżnobiałej pościeli ujrzałem rozrzucone kosmyki kędzierzawej, złocistej czupryny, od razu pomyślałem o Nim. Spał, leżąc na boku tyłem do drzwi, twarzą zwróconą ku plastikowi okna, przez które do wnętrza sączyło się blade światło budzącego się świtu. Stałem chwilę bez ruchu, wpatrując się w maleńką postać, w piersi poruszane urywanym oddechem, zaciśniętą kurczowo piastkę, z której wystawał motylek kroplówki. Po cichu podszedłem bliżej, usiadłem na metalowym krzeselku, wpatrując się w długie rzęsy wieńczące nienaturalnie białe powieki. Sięgnąłem po kartę szpitalną z wypisanym imieniem.

A więc ma imię – pomyślałem. I teraz już nigdy nie będzie chłopcem, o którym nikt nic nie wie – uśmiechnąłem się na myśl o tym, jakie to szczęście móc nazwać kogoś jego imieniem.

Czekając aż się przebudzi, spoglądałem na te wszystkie mądre wykresy, które maszyny nad głową kreśliły na swych monitorach – dowód istnienia lub ... przemijania.

Kiedy otworzył wreszcie oczy, westchnął głęboko jak większość z nas po przebudzeniu, gdy wdychamy głębiej do płuc pierwsze łyki powietrza, radośni, że dano nam oto kolejny dzień.

- Witaj – zagadnąłem.

- Dzień dobry, panie doktorze – odpowiedział słabym głosem.

Potem już tradycyjnie słuchawki, zlecenia, kolejne łóżeczka i uparta walka ze śmiercią. Przybył do nas z Domu Małego Dziecka. Porzucony przez rodziców.

A więc jednak nie z asteroidy B612?

Ci w „Statystyce” rzadko mają o czymkolwiek pojęcie. Zatem postanowiłem nazwać go „Małym Księciem”. To było dla mnie prawdziwe wyzwanie: nigdy wcześniej nie leczyłem żadnego księcia. I pomyślałem, że taka nobilitacja będzie dla mnie czymś wielce mobilizującym. Bo przecież losami książąt przejmują się wszyscy. I każdy życzy im szybkiego powrotu do zdrowia, by jak najprędzej nagłośnić w gazetach, gdy wszystko pomyślnie się skończy.

Mój Książę ma przerzuty mięsaka do kości...

2.

Następnego dnia znalazłem Księcia wpatrującego się w Słońce. Jak zwykle tyłem odwrócony do drzwi, lewą rękę podłożył pod głowę, przez co kędzierzawa czupryna była jeszcze bardziej zwichrzona.

- Czy Słońce zawsze było takie jak teraz? - pyta.

- Kiedyś było znacznie, znacznie większe – odparłem.

- Więc czemu zmalało?

- Bo kiedyś na Ziemi żyły dinozaury. A one były ogromne, więc potrzebowały dużo, dużo ciepła, żeby przeżyć.

- Więc ono teraz jest mniejsze, bo ja jestem malutki?
 - Tak, przyroda nie lubi trwonić swych zasobów - stwierdzam. Im mniej traci energii, tym dłużej będzie nam służyć.
 - I dlatego od czasu do czasu chowa się za chmury?
 - Wtedy może sobie trochę odpocząć.
- Przyroda potrafi być bardzo przewidująca.

3.

Nazajutrz zastałem go siedzącego na łóżku. Twarz pokryta wypiekami, iskrzące się oczy świadczyły o wielkich emocjach.

- Powiedz, czy to prawda, że Ziemia się kręci wokół własnej osi? - pyta.
- Tak mówią uczeni. Tyle, że my tego wcale nie odczuwamy. Choć niektórym podobno aż kręci się w głowach – pozwalam sobie na żart.
- A czy to prawda, że kiedy u nas jest noc, po drugiej stronie Ziemi świeci Słońce?
- To skutek tego wirowania.
- Czyli, że gdy my śpimy, to tamci ludzie pracują?
- Naturalnie. Praca jest bardzo ważna.

Umilkł na chwilę, lecz przyspieszony oddech odzwierciedla poruszenie.

- Czy to znaczy, że teraz w jakimś laboratorium ktoś próbuje znaleźć lekarstwo na moją chorobę? - pyta zduszonym głosem.
- W wielu laboratoriach - zapewniam.
- Kiedy ja śpię, też?
- Z pewnością!
- To pewnie dlatego świeci Słońce - dodaje po chwili.

Kiedy usnął zmęczony tą krótką rozmową, przysiadłem na brzegu łóżeczka. Patrzyłem to na uparcie pika-
jące tuż obok urządzenia, to na kroplówkę z lekarstwem, które - niczym jad tamtej żmii - sączyło się teraz
w jego żyły, to na Słońce za oknem. I modliłem się, by właśnie teraz ktoś podskoczył nad szklaną
próbówką z okrzykiem „Mam, mam cię wreszcie!”.

I żeby się nie mylił.

Póki jeszcze świeci Słońce...

4.

Po kilku dniach z kędzierzawych włosów pozostało niewiele. To, co miało powstrzymać chorobę, zaczęło
zbierać daninę. Na nieskazitelnie białej poszwie poduszki odcina się teraz główka z wciąż rozjarzonym
wzrokiem.

Przysiadam czekając aż się przebudzi. Uśmiecha się z wysiłkiem.

- Popatrz pod łóżko - prosi cichutko.

Schylam się, próbując dostrzec to, na co chciał zwrócić moją uwagę. Nic... Poza parą maleńkich pantofel-
ków.

- Nie, nie na podłodze... między sprężynami – dodaje wyraźnie zniecierpliwiony.

W rogu łóżka niewielki pająk plecie swą sieć.

- Myślisz, że mógłby upleść mi nowe włosy ?
- Przecież same niedługo odrosną – staram się przybrać ton beztroski.
- Kiedy? - pyta z nadzieją w głosie.
- Wkrótce! - nie chcę, by pytał ponownie.

5.

Od kilku dni pada deszcz. Słońce na dobre skryło się za chmurami.

- Czy ono kiedyś jeszcze tu wróci? - słyszę nadzieję w głosie.
- Jest tu cały czas! Przecież za chmurami znajduje ukojenie.
- Ty jesteś moim Słońcem - dodaje ciszej.

Zostaję z nim do wieczora. I znów ten miarowy dźwięk aparatury, znów kolejne kroplówki. Kiedy zdało mi się, że usnął, wychodzę stąpając na palcach. Gdy jestem przy drzwiach słyszę:

- Wzejdziesz dla mnie jutro?
- Ja nigdy nie zachodzę - odpowiadam z uśmiechem.

Tej nocy nauczyłem się połykać łzy ...
I pokochałem wschody Słońca...

Wracając do domu w połowie ul. Wiślniej uzmysłowiłem sobie oto, że przecież mimo upływu tylu dni nie narysowałem mu jeszcze owieczki. I że to całkiem bez znaczenia, że pewnie i ja umiałbym naszkicować jedynie węża boa z połkniętym słoniem.

Przystaję pod baraniami, „Piwnicznymi” głowami. Jakbym słyszał ich beczenie, żwawe, pełne życia, optymizmu, którego coraz mniej we mnie.

Przysiadam tuż obok Piotra Skrzyneckiego. W Jego ciepłym, choć metalicznym spojrzeniu, szukam od-sieczy.

- Złap to radosne beczenie do wnętrza balonika. I wypuść przy łóżku Księcia – zdaje się szeptać.
- Myślisz, że się ucieszy? - pytam z nadzieją.

Ale Piotr milczy. I tylko ten zagadkowy uśmiech w kąciku jego ust.

Kupuję więc czerwony balonik, by złapać „Piwniczny” nastrój. Z Wieży Mariackiej właśnie płynie półn-ocny hejnał. Urywany symbol przemijania. Przecięta nić życia tego, który uratował innych.

I oto zdaje mi się, jakby ta strzała tatarska nagle wbiła się w mój pełen nadziei czerwony balonik, ten pęka z traskiem, a jego zawartość ulatuje rozdziawionymi ustami maszkaronów, przez puste czeluście ich oczodołów, by krążyć po płycie opustoszałego o tej porze Rynku...

To nic, kupię drugi i znów napełnię nadzieją. Przecież dorośli ludzie też bywają bardzo uparci...

6.

Następnego dnia przynoszę Księciu balonik. Chłopiec leży na wznak z oczami utkwionymi w sufit. Wy-daje się, że po raz pierwszy od kilku dni uśmiecha się. To pewnie dlatego, że Słońce znów wyjrzało zza

chmur.

- Popatrz, co ci przyniosłem - mówię wyciągając balonik.
- Mogę potrzymać? - pyta nieśmiało.
- Przecież jest twój! - odpowiadam radośnie.

Chwyta za niezapętlony ustnik, patrzy chwilę i rozwiera palce. Balon z piskiem uchodzącego powietrza odbija się to od sufitu, to od ścian, by spaść wreszcie na łóżko. Potem znów kilka wydechów do środka i zabawa od nowa.

Gdy wieczorem składałam na czole Piotra całus podzięką, w moich uszach wciąż jeszcze dźwięczy beztroski śmiech Księcia.

7.

Ranek budzi mnie odgłosami dzieci bawiących się na podwórzu. Wyglądam ku nim przez okno. Te same zabawy co dawniej. Kilka kwadratów narysowanych kredą. Piekło i Niebo. Rzut kamyczka i kilka podskoków.

Ach, gdyby mieć taki kamień przenoszący do Nieba, mieć moc przeskoczenia Piekła umierania.

Kamieniem Księcia jest okrutna choroba...

Wspominam rozbite w trakcie dziecięcych zabaw kolano, gdy otarty naskórek wydawał się głęboką raną, a mama przyjaciela polewała je wodą utlenioną z wielkiej butli.

To był mój okup za wstęp do Nieba. Okup, po którym do dziś została niewielka blizna.

Na kolanie Księcia pojawiło się pierwsze owrzodzenie...

8.

W przyszpitalnym ogródku nie rosną baobaby, ale są za to dorodne kasztany. Dla kogoś, kto naprawdę kocha swoją planetę, kasztany mogą być równie ważne.

Postanawiam tuż obok nich posadzić różę. Wybieram już kwitnącą, bo przecież mogłaby nie zdążyć rozwinąć swych płatków. Jest czerwona i duża. Jutro przywiozę tu Księcia na spacer.

9.

Znów świeci letnie Słońce, więc sadzam Księcia w fotelu na kółkach. Opatulony kocem, z żółtym szalikiem wkoło szyi, trzyma się kurczowo poręczy. To jego pierwszy od kilku tygodni spacer.

- Popatrz ile tu kasztanów - mówię, ciesząc się, że nikt wcześniej nie pomylił ich kielków z chwastami i bezpowrotnie nie wyrwał.

- Ale dużo!- cieszy się. - Jesienią przyjdziemy zbierać!- dodaje. - Będziemy robić z nich kasztanowe ludziki?

- Naturalnie, muszę tylko kupić pudełko wykałaczek.

Czuję rozsadzającą radość. Wreszcie jakaś nutka nadziei.

Podjeżdżamy do róży. Oczy Księcia iskrzą się jeszcze bardziej, blade policzki nabierają rumieńców.

- Jaka piękna! - mówi z zachwytem w głosie. I ogromna. Nigdy takiej nie widziałem! Popatrz, są na niej kropelki! A ile ma kolców!

- Dwanaście! - przeliczam szybko.

Tamta miała jedynie cztery. Ale przecież też była jego największą przyjaciółką.
Cóż - od tego czasu minęło wiele lat. Musiała urosnąć.

10.

Kilka spokojniejszych dni. Każdego ranka Księżę wita mnie coraz to silniejszym głosem. Leki chyba działają.

Obchód bywa zawsze o tej samej godzinie.

- Rozpoznaję już odgłos twoich chodaków na korytarzu! – dumnie stwierdza pewnego dnia. - I nigdy się nie myłę! Bo jesteś bardzo punktualny!

A więc czeka i cieszy się, że jestem. A więc oswoił się już ze mną. A może i ze swoją chorobą...

Kiedy przychodzi takie oswojenie, ludzie stają się sobie naprawdę potrzebni. Wtedy ten ktoś staje się dla ciebie jedynym na całym świecie. I ty stajesz się dla niego kimś wyjątkowym...

Jest tyle innych sal szpitalnych. W każdej łóżko z maleńkim pacjentem. Wśród nich jest to najważniejsze.

Tak oto uzmysławiam sobie, że właśnie Księżę jest tym, który mnie oswoił.

Postanawiam nigdy nie zmieniać chodaków na inne...

Późnym popołudniem zachodzę do sklepu z zabawkami.

Pora na kupno lisa.

Nabiegałem się po mieście, nim wreszcie znalazłem. Pluszowych misiów i lalek - do woli. Na lisy nie ma popytu. Był jeden, za to niepowtarzalny. Zupełnie jak tamten, który w złocistym zbożu odnajdywał kolor książęcych kędziorków.

Następnego dnia zabrałem lisa ze sobą.

- To dla mnie? - pyta z niedowierzaniem. - To moja pierwsza w życiu zabawka - dodaje ciszej. Ale już za chwilę radośnie podrzuca lisa niemal pod sufit.

- Pewnie, że dla Ciebie. Takiego lisa daje się tylko szczególnym osobom.

Patrzy na mnie pytająco.

- Czy to znaczy, że jestem dla ciebie kimś ważnym?

- Bardzo ważnym - odpowiadam.

Nie odwracam głowy. Wzruszenia nie zawsze bywają niewidoczne...

11.

Będziemy puszczała mydlane bańki. Ubranego w ciepły szlafrok, w nieodłącznym szaliku, wiozę nad sadzawkę w rogu szpitalnego ogródka. Wyciągam kubeczek z mydlinami i dmucham przez wąski pierścień. Maleńkie bańki ulatują niesione wiatrem. Tęczowy wir rozpryskuje się nad sadzawką, a wtedy kolej na następne, wciąż nowe.

Księżę z rozdziawioną szeroko buzią patrzy na nie i śmieje się głośno, jak nigdy dotąd. Maleńką rączkę

wyciąga przed siebie z okrzykiem:

- Daj, daj spróbować! Jakie one śliczne! O! I jak szybko pękają!

Kiedy nabiera mydlin z kubeczka, gdy puszcza bańki na wietrze, stoję cierpliwie tuż obok.

Jest tak maleńki, że historia jego życia zmieściłaby się swobodnie w najmniejszej z tych baniek, ulatujących na drugi brzeg sadzawki tak, jak teraz z niego ulatuje życie.

Nie chcę o tym myśleć. Wolę już patrzeć na pierwsze opadłe do sadzawki liście kasztanów. Delikatne okręgi fal unoszą je teraz ze sobą, jak on dźwiga cierpliwie brzemię swej choroby.

12.

Wracając mijamy różę i ogrodowe kasztanowce.

- Zatrzymajmy się na chwilkę - prosi.

Przystaję. On tymczasem spogląda to na różę, to na drzewa. Na dłuższą chwilę utkwił spojrzenie w liściach u stóp.

- Spójrz, te liście mają kształt palców - stwierdza poważnym głosem.

- Masz rację, nie pomyślałem o tym nigdy wcześniej .

- Wyglądają, jakby obejmowały Ziemię – dodaje po chwili.

- Kto wie, może...

- A jeśli liście obejmują ziemię, to może ona, popychana ich palcami, będzie się szybciej obracać - wyrzuca z siebie coraz szybciej kolejne słowa.

- Chyba tak – mówię, próbując odgadnąć jego myśli.

- A czy jak Ziemia będzie się szybciej obracać, to ludzie będą spać krócej?

- Z pewnością – stwierdzam, niezbyt uszczęśliwiony taką perspektywą.

- I wtedy może szybciej znajdą dla mnie lekarstwo? - kończy z wypiekami na twarzy...

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Rankiem nie czując zmęczenia idę do pracy. Bo przecież on czeka...

13.

Jest coraz gorzej. Po przejściowej remisji, choroba uderza ze zdwojoną siłą. Książę już nie nasłuchuje moich kroków na korytarzu. Przez większość dnia śpi, od czasu do czasu wykrzykując coś niezrozumiałego.

I tylko ten nieznośny, miarowy dźwięk bezdusznej maszyneryi pieczętuje jego prawo do życia.

I tylko pająk, pośród sprężyn pod materacem cierpliwie snuje swą sieć.

I tylko chłód metalowego stołka mrozi duszę, która traci nadzieję...

Kroplówka sączy się monotonnie, a jej silikonowy łącznik przybiera coraz to bardziej postać jadowitego węża, przed którym nie ma ucieczki.

Węża, który jak tamten, zdaje się syczeć: „mój jad jest mocny, nie będziesz już długo cierpieć”.

14.

Kolejna bezsenna noc pełna koszmarów.

Rankiem zastaję puste łóżeczko...

Nie, to nie może być prawda!- myśli panicznie przelatują przez głowę. Może to tylko chwilowy kryzys, może ratują go właśnie na Intensywnej Terapii...

Czysta pościel na starannie zaścielonym łóżku razi w oczy...

Na nocnej szafce lis. Jedyna zabawka jaką miał wyłącznie dla siebie.

Lis, który miał nas ośwoić...

Lis, który uzmysłowił mi to, co w życiu jest ważne...

Patrzy teraz niemo w moim kierunku.

„Wracaj zawsze o tej samej porze” - zdaje się mówić. „Żebyś mógł już na kilka godzin wcześniej cieszyć się, że będziesz”.

A ty czekaj wtedy na mnie, bym i ja mógł się cieszyć, że jesteś...- odpowiadam mu w myślach.

15.

Po powrocie do domu, sięgam z regału „Małego Księcia”.

W ciągu nocy przeczytałem tę opowieść kilka razy.

Może napotkał gdzieś w swej kolejnej wędrówce Zwrotniczego, który skierował go wreszcie na właściwe tory?

Może dotarł już na planetę Latarnika i teraz może podziwiać 1444 zachody Słońca na dobę, bez obaw, że znów przepadnie ono w objęciach chmur, a wtedy z powodu mroku starszy, szpakowaty laborant porzuci swe próbówki z darem życia?

Nie powiem wam, jak miał na imię. Będzie dla mnie już zawsze Małym Księciem z asteroidy B 612...

Ogłaszam to ubrany w lekarski kitel, a nie elegancki garnitur.

Lecz może mimo to uwierzycie?

I może żaden autokratyczny władca nie będzie musiał wydawać w tej sprawie specjalnego edyktu?

Róża zniknęła z przyszpitalnego ogródka...

Pewnie zabrał ją z sobą, niesiony przez ulatujący, jesienny klucz kormoranów.

Bo przecież każdy w życiu musi mieć przyjaciela.

I każdy w życiu musi się o kogoś troszczyć.

Kto wie, może zjawił się po to, by mnie ośwoić...

Rysuję wewnątrz szpitalnego pokoju. Gdybyście przypadkiem tam się znaleźli, proszę - nie spieszcie się. Przysiąćcie chwilkę pod oknem, przez które padać będą promienie słońca.

A jeśli tuż obok, na szpitalnym łóżeczku będzie leżał chłopczyk, gdy uśmiechnie się na wasz widok, jeśli będzie miał złote włoski i będzie tak bardzo pragnął waszej bliskości, bez wątpienia odgadniecie, kim jest.

Nie pozwólcie mu się smucić z powodu choroby.

A gdyby ktoś z was spotkał go gdzieś, kiedyś na swej drodze, niech nie pozwoli Mu odejść po raz trzeci...

I - bym się już dłużej nie smucił - niech da mi, proszę, jak najszybciej znać, że On wrócił...

wrzesień 2011, gdy było mi smutno

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

duzyksiaze, dodano 13.12.2012 11:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.